WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 138 18 LISTOPADA 1975 R CENA 1,50 ZŁ

NAPAD NA BANK POMYSŁÓW

Brawurowa AKCJA INSPEKTORA H.

Pościg za przestępcą po dachach stolicy!

AGENCJA HI-HI DONOSI:

Kiedy czytacie te słowa, przestępca (na zdjęciu w czerwonej koszuli) siedzi już za kratkami, inspektor H. (nazwisko znane Agencji) leczy zapalenie migdałków, a Bank jakby nigdy nic pełni swoje usługi. Ale nie uprzedzajmy wypadków. Był poniedziałek, samo południe. Urzędnik, kierownik i dyrektor w czasie przerwy obiadowej opuścili Bank. Toteż nie miał kto zwrócić uwagi na hałasy wydobywające się spod banku. Ciąg dalszy na str. 5.

Zdjęcie: M. Szymański

- Harcerze gospodarzami KONFERENCJI PARTYJNEJ
- Pamiątkowe gobeliny dla delegatów

PABIANICE (HSI). I Liceum Ogólnokształcące w Pabianicach było gospodarzem Miejskiej Konferencji Partyjnej. Przy wejściu do gmachu szkoły harcerze witali jej uczestników, kierowali do szatni, informowali gdzie mieści się sala obrad. Zadbano o uroczysty wystrój wszystkich wnętrz. Dla uczczenia tego tak ważnego wydarzenia w życiu miasta, a równocześnie zaszczytnego wyróżnienia dla szkoły – zorganizowano m.in. wystawę prac plastycznych uczniów szkoły. Były na niej prace malarskie, rzeźby w drewnie i metalu oraz barwne gobeliny, wśród których wiele nawiązywało do VII Zjazdu PZPR. Gobeliny o tej tematyce delegacja młodzieży I LO wręczyła uczestnikom Konferencji. **(ws)**

Kosmonauta płk JURIJ ARTIUCHIN pozdrawia czytelników „ŚWIATA MŁODYCH"

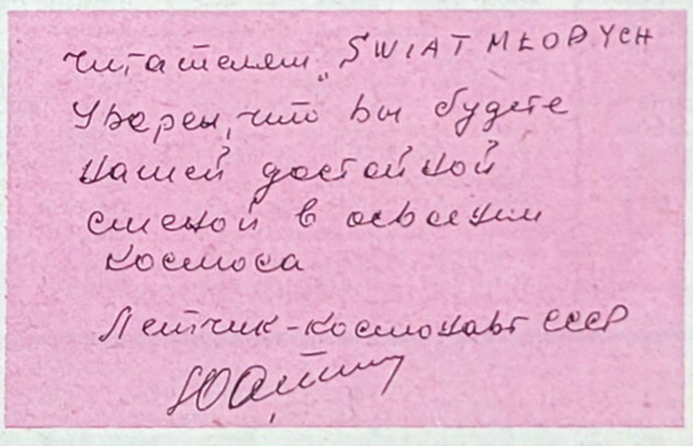

„Czytelnikom „Świata Młodych" — wierzę, że będziecie naszą godną zmianą w opanowywaniu kosmosu.

Lotnik - kosmonauta ZSRR

Jurij Artiuchin

Oto treść pozdrowień skierowanych do Was przez uczestnika ubiegłorocznej wyprawy kosmicznej na statku „Sojuz-14" i stacji „Salut-3". Rozmowę z Jurijem Artiuchinem drukujemy na str. 3.

ZAMOŚĆ (HSI). Kiedy na uroczystej inauguracji roku harcerskiego Chorągwi Zamojskiej zapłonęły światła reflektorów, oczom młodej widowni ukazały się barwne grupy aktorów symbolizujące poszczególne okresy w dziejach narodu polskiego. Aktorami byli członkowie reprezentacyjnego zespołu Zamojskiej Chorągwi ZHP o nazwie „Młodzieżowy Teatr Aktualności". Widowisko oparte na poetyckich tekstach Mariana Grześczaka, przygotowane zostało w czasie dorocznego obozu artystycznego w Krasnobrodzie. Zespół teatralny, istniejący już 13 lat, na swoją 50 premierę zaprezentował spektakl pt. „Czerwone jabłuszko".

„CZERWONE JABŁUSZKO" – 50 premierą Młodzieżowego Teatru Aktualności w ZAMOŚCIU

HARCERSKI DZIEŃ W DOMU KULTURY

KORYCIN (HSI). Harcerze Gminnego Hufca Korycin, w woj. białostockim nie mają własnej harcówki. Latem ze zbiórkami nie ma problemów, ale kiedy nadchodzą jesienne chłody brak własnego kąta staje się poważnym problemem. Z pomocą „bezdomnym" przyszło kierownictwo Gminnego Ośrodka Kultury w Korycinie, które raz w tygodniu oddaje swój klub we władanie harcerzy. (ej)

Dziś przedstawiamy:

ALVARO CUNHAL

Kiedy piszę te słowa, Portugalia przeżywa kolejny kryzys. Gazety donoszą o możliwości prawicowego zamachu stanu. Siły faszystowskie, które nie zniknęły z powierzchni ziemi z dniem 25 kwietnia 1974 r., gdy zaczęła się portugalska rewolucja, a jedynie przyczaiły się w podziemiu — znowu dają o sobie znać.

Nienawiść sił prawicowych nie bez powodu skierowana jest w głównej mierze przeciw portugalskim komunistom. Oni bowiem najbardziej zdecydowanie obstają po stronie rewolucji i zdobyczy, jakie ona przyniosła — nacjonalizacji, reformy rolnej i świadczeń socjalnych na rzecz ludzi pracy.

Na czele PPK stoi Alvaro Cunhal, sekretarz generalny partii. W jednym ze swych wywiadów powiedział on: „Będziemy osiągać sukcesy i ponosić porażki, będziemy borykać się z prawicowymi i lewicowymi odchyleniami. Skomplikowany przełom sprzeczności i burzliwy proces nie zawsze musi rozwijać się po linii prostej. Nie spieszymy się, nie ponaglamy wydarzeń i nie stawiamy przed sobą celów, dla których osiągnięcia nie dojrzały jeszcze warunki. Ale wierzymy, że w Portugalii umocni się demokracja i dokonają się głębokie przemiany społeczne".

Myślę, że w tym fragmencie wywiadu zawarta jest cała mądrość tej partii i jej przywódcy, wynikła z długoletniego doświadczenia.

PPK liczy bowiem prawie 50 lat, z czego 48 lat działała w podziemiu. Cunhal wstąpił do niej, mając lat 17 jako student Wydziału Prawa Uniwersytetu w Lizbonie. Po jakimś czasie zaczął kierować działalnością Federacji Młodzieży Komunistycznej w rejonach Lizbony i Margem Sul. Uczestniczył też w 1935 r. w VI Kongresie Międzynarodówki Młodzieży Komunistycznej w Moskwie. Po powrocie zostaje po raz pierwszy aresztowany.

W latach czterdziestych poświęca się reorganizacji struktury partii, rozbudowie jej komórek, próbując dostosować ją do konspiracyjnego życia. Przyczynia się do rozwoju prasy partyjnej. W 1949 r. zostaje aresztowany i skazany. Dopiero w 1960 r. uzyskuje wolność i to dzięki brawurowej ucieczce z dobrze strzeżonego więzienia w Peniche.

W 1961 r. zostaje wybrany sekretarzem generalnym partii, przebywając cały czas za granicą. W partii — co podkreślają liczni dziennikarze — cieszy się ogromnym uznaniem i popularnością, zaś wśród przeciwników — szacunkiem i autorytetem. Z pewnością obecne i przyszłe sukcesy PPK należy wiązać również z jego nazwiskiem. (wp)

Centrum Nowego Jorku. Widok z Hotelu „Edison".

Wędrujące miasta

Amerykańskie zapiski (4)

Stoją na rogu ulicy, przyjaźnie do siebie uśmiechnięte, zajęte wymianą jakichś sąsiedzkich plotek. Czarna, starsza pani z czarnym pieskiem i biała, starsza pani z białym kundelkiem. Szkoda, że nie odwrotnie — podsuwa mi myśl złośliwy chochlik.

— Tu się zaczyna mniej porządna dzielnica — wpada mi w kontemplację tej ulicznej scenki oglądanej zza szyby samochodu mój przewodnik po Waszyngtonie.

„Mniej porządna" — nauczyłem się już rozumieć ten zwrot. To znaczy, że w większości zamieszkują tu Murzyni.

— Pan zresztą wie... — dodaje. — Waszyngton to miasto czarnych. Nawet „mayor" (czyli mer) jest Murzynem. Pan sobie wyobraża do czego doszło? To przecież stolica...

Ten pogląd uzupełnił mi nazajutrz dość rozmowny policjant:

— W nocy Waszyngton liczy niecały milion mieszkańców, w dzień dwa...

I trudno sobie inaczej to wyobrazić. Przecież w centralnych urzędach pracują w większości biali. Ten drugi milion, tych ważniejszych, dziennych obywateli Waszyngtonu, dojeżdża więc do swoich urzędów i biur z okolicznych miejscowości.

WKROCZENIE DO ŚRÓDMIEŚĆ

W śródmieściach wielkich miast, w każdym razie w północno-wschodniej części USA, na ogół większość mieszkańców stanowią obecnie Murzyni.

Spacerowałem w południowej porze po Main Street czyli ulicy Głównej w Buffalo. Chwilami miałem wrażenie, że znalazłem się w jakiejś afrykańskiej metropolii. Na chodnikach prawie wyłącznie czarni. W samochodach, wśród sprzedawców w sklepach przeważają biali, ale ci się mniej rzucają w oczy. Co najmniej połowa czarnych dziewcząt ma fryzury plecione w dziesiątki warkoczyków. Trafiają się i mężczyźni z czymś takim na głowie. Jakaś chyba demonstracja, że nie wstydzą się swej odrębności kulturowej. Obok inne elegantki z włosami prostowanymi u fryzjera. Też forma demonstracji, że potrafią się nie różnić.

Od czasów sprzed kilkunastu lat, kiedy — zwłaszcza na Południu Stanów — biali rasiści w majestacie amerykańskiej demokracji dokonywali dziesiątków zbrodni na Murzynach, kiedy życiem kraju wstrząsały potężne demonstracje czarnej ludności — chyba zmieniło się sporo. Część czarnych z Południa wywędrowała do miast w północnych Stanach, gdzie wzrósł tym samym procent Murzynów. Różne posunięcia władz przeciwko segregacji rasowej rozluźniły bariery oddzielające białych i czarnych. Murzyni zaczęli się masowo wprowadzać do starych śródmieść. Niższe ceny mieszkań w starych domach ułatwiały tę wewnątrzamerykańską wędrówkę ludów.

Nie wiem, czy na Południu — nie byłem tam — mówi się dalej o Murzynach per „coons" czyli „śmierdziele", czy egzystują jeszcze specjalne toalety dla czarnych, czy w barach odmawia się podawania Murzynom, czy w niektórych stanach obowiązuje nadal rasistowskie ustawodawstwo zakazujące małżeństw mieszanych. Nie wiem, być może i tam się trochę zmieniło. To, co widziałem na Północy, sprawiało natomiast zewnętrznie wszelkie pozory pełnego równouprawnienia.

KTO KOGO BIJE?

— Trzeba się z tej dzielnicy wynosić. Tu już czarny na czarnym siedzi — usłyszałem od Amerykanina polskiego pochodzenia z Cleveland.

— Jak się trochę dorobiłem, kupiłem jeden dom, drugi, trzeci i wynajmowałem lokatorom — opowiadał mi jeden z mieszkańców Detroit. — Trochę to dawało dochodu. A potem wprowadzili się Murzyni. Zdewastowali wszystko. Sprzedałem za bezcen...

— Do menadżera stacji benzynowej weszło czterech czarnych bandytów. Zażądali pieniędzy. Dał ile miał. Mało, bo utarg tego dnia był mały. Zastrzelili go... — oburzał się przypadkowo spotkany w motelu kierowca.

— Nie wychodzę wieczorami nigdzie — zwierzał mi się gospodarz, do którego byłem zaproszony na wieczór. — Niebezpiecznie, rozumiesz, Murzyni...

— Ja też miałem inny pogląd na kwestię murzyńską — przyznał mi się ksiądz, który dopiero kilka lat temu wyjechał z Polski do Stanów. — Ale zmieniłem go...

Ja po tym co widziałem i słyszałem, nie zmieniłem.

Prawdą jest, że zjawisko przestępczości w USA występuje w kilkakrotnie większym natężeniu wśród czarnych jak wśród białych. Ale, jak twierdzą hobbyści interesujący się działalnością gangów przestępczych, Murzynów się tam nie przyjmuje. A gangi nie zajmują się taką detaliczną działalnością jak obrabowanie stacji benzynowej.

— To nie my bijemy Murzynów, to Murzyni biją nas — próbował bronić swego stanowiska ksiądz.

Faktycznie, sprawcami napadów chuligańskich, gwałtów, są najczęściej Murzyni, ale i ofiarami ich są w czterech piątych czarni. Prawda, że Murzyni prezentują w swej większości niską kulturę życia codziennego. Stąd to dewastowanie mieszkań, zachowanie się na ulicy itp. Ale...

Przed kilku laty przeprowadzono badania wśród uczniów szkół murzyńskich. Wyniki okazały się wstrząsające. Znaczny procent uczniów piątej klasy okazał się analfabetami. Jakież kwalifikacje zawodowe, jakie szanse na sukces życiowy, daje w wysokocywilizowanym społeczeństwie takie wykształcenie? A jednocześnie film, telewizja, prasa wychwalają pozycję majątkową jako jedyny miernik sukcesu oraz brutalną siłę jako skuteczny sposób rozwiązywania życiowych problemów! Trudno się więc zgodzić, że to z czarnym kolorem skóry wiąże się czarny charakter. Sprawiedliwość każe mi szukać raczej białych diabłów.

EXODUS BIAŁYCH

Najście czarnych na śródmieścia spowodowało ucieczkę białych. Ludność Chicago w ciągu ostatnich 25 lat zmniejszyła się np. o ok. 430 tys. osób. Dawne tereny miast zaczęły obrastać ciągnącymi się na szerokość wielu mil pierścieniami parterowych dzielnic willowych. Tu i ówdzie wśród nich wyrosły osiedla równie luksusowych bloków. Za nimi wywędrowała ze śródmieść część wielkich domów towarowych i sklepów.

Schematycznie rzecz biorąc, większe amerykańskie miasta składają się teraz jakby z trzech stref. Pierwsza z nich to handlowo-administracyjne ścisłe centrum z wieżowcami i drapaczami chmur. Wokół rozciąga się stary obszar miejski. Domki na ogół parterowe, piętrowe, czasem kilkupiętrowe, dość już wysłużone, raczej nie przyciągające oka. To właśnie te „mniej porządne" dzielnice. I opisana wyżej trzecia — obszary podmiejskie, strefa przemieszczania się białych.

Czy to koniec tej wędrówki? Widywałem Murzynów sprawiających dostatnie wrażenie. Przyjdzie więc czas, że zaczną i oni z uboższych dzielnic przenosić się na willowe przedmieścia. Uzbrojone tereny dawnych śródmieść zachęcają przedsiębiorstwa do budowy nowych, bardziej luksusowych domów. Zaczną się więc powroty białych do miast. Wędrówki będą trwały dalej.

Ale czy ustąpią uprzedzenia? W Bostonie biali rodzice, żeby uchronić swoje dzieci od „nieszczęścia" uczęszczania do mieszanych szkół, przenieśli w tym roku 7,5 tys. uczniów do szkół prywatnych. Nie liczyli się z kosztami, choć pieniądz się tam liczy. Oj, liczy...

JERZY MAJKA
Zdjęcie autora

Pokochać nie tak trudno

Byłem niedawno w Raciborzu. Przyjechałem do hotelu wieczorem, głodny. Po drodze nie udało mi się znaleźć restauracji, w której mógłbym zjeść bez uprzedzenia. Fakt, nie szukałem zbyt dokładnie, ograniczałem się tylko do barów i gospód wzdłuż szosy E-16, a tych tu niewiele. Ja natomiast lubię zjeść dobrze — takie mam zachcianki. Żeby było smacznie, estetycznie i w miłym otoczeniu. Dlatego najczęściej jadam w domu.

Nie chcę jednak narzekać w tym miejscu na gastronomię, bo w ciągu wielu poprzednich lat temat ten dokumentnie wyeksploatowali inni dziennikarze. Ja chciałbym pomówić przy okazji kulinariów o kwestii stosunku do spraw zawodowych. O rzetelności, inicjatywie, dobrych pomysłach.

Bo oto w Raciborzu, w restauracji hotelowej III kategorii oczy otworzyłem szeroko ze zdumienia. Miasto to w końcu niewielkie, hotel z lekka pośledni, a jedzenie... najwybredniejsze gusty potrafi zaspokoić. Karta dań obfita, można przebierać do woli. A obfitość była tak wielka, i tak to wszystko zachęcająco wyglądało, że po spożyciu obiadu, odczekałem chwilę i... zamówiłem jeszcze kurczaka pieczonego w sosie. I takiego kurczaka, jak żyję, nigdzie w restauracji nie jadłem. Wypieczony, mięso miękkie, świetne kartofle, no, niebo w gębie.

Rozmowa z kelnerką tak oto potem wyglądała:

— Czy u was są inne kartofle niż w reszcie kraju?

— Nie! Ale jak dostajemy stare i szczególnie nieapetyczne, to robimy z nich coś w rodzaju pyzów, ale według własnej receptury. Żeby były smaczne.

— A ten kurczak — dlaczego taki dobry? Przecież to też brojler, jak inne...

— Szef kuchni ma serce. Poza tym jest u nas duża różnorodność potraw, więc więcej czasu na przyrządzenie go specjalne, bo goście nie muszą jeść tylko kurczaka, jako jedynej dostępnej potrawy.

— No, a czy ta różnorodność się opłaca?

— Pan zamówił po raz drugi. Inni też tak robią.

— A to bogactwo przystawek i sałatek. To przecież podraża koszty, pochłania więcej czasu.

— A pan żałował na to pieniędzy? Proszę spojrzeć, salę mamy pełną, a w „Turystycznej", na przykład, pustki.

O nic więcej nie pytałem, zamówiłem deser.

Ciekawi mnie, ile jest jeszcze takich restauracji w kraju. Województwo słupskie podobno zrobiło w tym względzie rewolucję, poznańskie też. A gdzie indziej?

Pisze do mnie członkini Ligi Reporterów, Hanna Maruszewska z Płocka: „Byłam w barze. Miałam diabelną ochotę na pierogi z serem, śmietaną i cukrem. Z całym zapałem zabrałam się do jedzenia. Po pierwszym kęsie okazało się jednak, że to, co mam na talerzyku, od biedy można nazwać pierogami, ale co do śmietany — miałam duże wątpliwości. Chyba była to woda z butelki po śmietanie z dodatkiem serwatki. Cukru nie było prawie wcale, a to, co się tam znalazło, zostało posypane na talerzyk koło pierogów. Zwróciłam się więc do kelnerki z zapytaniem: — co to właściwie jest? Niech pani je — usłyszałam — nie grymasi, bo i tego może nie mieć. Pani patrzy, tylu ludzi je i nic nie mówi!".

Pointa zaś będzie taka...

Kiedy spytałem szefa kuchni w Raciborzu, jak to się dzieje, że jest u nich tak dobrze, on mi odpowiedział: „Bo ja kocham swoją pracę!" Mówił to z jak najbardziej poważną miną. A jak ktoś nie kocha? — spytałem. „Panie, pokochać nie tak trudno, jeśli człowiek chce być solidny".

Tę kulinarną lekcję polecam zakładom obuwniczym, przedsiębiorstwom rozrywkowym, polskiej elektronice radiowo-telewizyjnej i... O „nasiąkaniu skorupek" nie wspomnę.

WOJCIECH PIELECKI

ZIEMSKIE ORBITY KOSMOSU

W tym roku po raz pierwszy zorganizowany został telewizyjny konkurs o tematyce astronomiczno-astronautycznej pod hasłem „Ziemskie orbity kosmosu". Finał wieloetapowych zmagań (eliminacje wojewódzkie i ogólnopolskie) oglądaliśmy na ekranach telewizorów 8 listopada br. Trzeba przyznać, że uczestnicy konkursu wykazali się świetną znajomością obszernej tematyki. Było to widoczne na tablicy punktacyjnej — zwycięzca, Mirosław Brzostowski, pokonał swoich rywali tylko niewielką różnicą punktów.

Organizatorom konkursu — RG FSZMP, ZG TPP-R, Komitetowi d/s Radia i Telewizji oraz redakcji „Sztandaru Młodych" — należą się słowa uznania za ciekawą inicjatywę. Oby tylko przerodziła się w stałą doroczną imprezę.

Honorowym gościem „Ziemskich orbit kosmosu" był kosmonauta, płk Jurij Artiuchin. Korzystając z okazji, przeprowadziliśmy z Bohaterem Związku Radzieckiego krótką rozmowę.

Na zdjęciu — finaliści konkursu w studio TV.

Wywiad z kosmonautą Jurijem Artiuchinem

KIEDY ŚWIAT STAJE W MIEJSCU...

— Jaki dzień Waszego życia uważacie za najważniejszy?

— Na pewno był nim 3 lipca ubiegłego roku. Marzyłem zresztą o nim przez wiele lat. Tego właśnie dnia razem z Pawłem Popowiczem wystartowaliśmy w kosmos na statku „Sojuz-14". Ja pełniłem rolę inżyniera pokładowego, Paweł dowódcy-pilota.

— Czy odczuwaliście strach, lęk przed nieznanym, groźnym ciągle kosmosem?

— Chyba coś takiego odczuwałem, ale przyznam szczerze — bardziej bałem się przed laty pierwszego skoku spadochronowego niż teraz startu w kosmos.

— Przebywaliście na pokładzie stacji orbitalnej „Salut-3" aż dwa tygodnie. Ciekawi jesteśmy Waszych wrażeń z obserwacji Ziemi „stamtąd", z „góry".

— Nie wiem od czego zacząć, tyle przecież jest różnych wspomnień.... Na pewno wielkim przeżyciem, przynajmniej dla mnie, było oglądanie zorzy powstającej na granicy światła i cienia przy wschodzie i zachodzie słońca. Gra kolorów jest taka piękna, że nie można jej opisać słowami. Obserwowaliśmy to cudowne zjawisko dziesiątki razy, bowiem wschód i zachód słońca, następował na „Salucie" co półtorej godziny. Tyle czasu trwało jedno okrążenie naszej planety.

— O ile pamiętam, obserwowaliście zorzę nie tylko ze względu na jej piękno, ale dla celów naukowych.

— Rzeczywiście, prowadziliśmy szczegółowe badania spektrograficzne zorzy. Na podstawie analizy owej zorzy można bowiem ocenić stopień i skład chemicznych zanieczyszczeń powietrza nad wielkimi miastami. Przemieszczanie się tych zanieczyszczeń przybrało charakter globalny. Dymy z elektrowni europejskich znajdują się w lodowcach Antarktydy i Himalajów. Trzeba zatem je śledzić w skali całej planety, aby na tej podstawie można było podjąć skuteczne środki zaradcze.

— A inne wrażenia, np. nieważkość?

— Prawie wszystkie zjawiska i czynności, z jakimi spotyka się kosmonauta na orbicie, można symulować w warunkach ziemskich, ze zjawiskiem nieważkości zapoznaje się dopiero w kosmosie. Wrażenie niezwykłe, niepodobne do niczego. Czy przyjemne? Dla mnie tak. Równie niezwykłe co nieważkość — są także skutki tego stanu. Znika pojęcie „góry" i „dołu", w ogóle jakiegokolwiek kierunku! Wydaje się jakby świat stanął w miejscu...

— Z kosmosu wróćmy na ziemię. Czy można Was prosić o parę słów o swojej rodzinie, swoich najbliższych?

— Mam żonę, dwóch synów. Starszy — Siergiej — studiuje w Instytucie Lotnictwa i Techniki w Rydze, młodszy — Wołodia — jest dopiero uczniem piątej klasy i również czytelników „Świata Młodych".

— Słowem, synowie idą w ślady ojca...

— W tej chwili tak można powiedzieć tylko o Siergieju. Kim zostanie Wołodia, trudno przewidzieć.

— O czym marzycie, czego chcielibyście dokonać?

— Polecieć jeszcze raz w kosmos.

Z kosmonautą płk JURIJEM ARTIUCHINEM rozmawiał STANISŁAW BOROWIECKI.

Zdjęcia: **M. Szymański**

O STRZELACZACH I PRAWDZIWYCH MYŚLIWYCH

Był wtedy rok 1924. Bogdan Katamay miał wówczas 12 lat. Kolega ze szkoły zaprosił go do siebie do domu na wakacje. Tak się złożyło, że chłopcy któregoś dnia zostali sami, no i zachciało im się trochę postrzelać. Nie namyślali się długo, dubeltówki do ręki i hajda w las. Traf chciał, że zobaczyli sarnę. Bogdan strzelił i... trafił. „Mógłbym przysiąc — opowiadał potem — że widziałem, jak sarna miała łzy w oczach". Takie to były niechlubne początki kariery myśliwskiej Bogdana Katamaya — myśliwego-selekcjonera i hodowcy, działacza ochrony przyrody.

Od 1967 roku Bogdan Katamay już nie poluje. Owszem, od czasu do czasu pójdzie na rykowisko, ale to tylko raz do roku. Pozostało mu nie spełnione marzenie — strzelić byka medalowego (czyli okaz jelenia z pięknymi i ciężkimi rogami; rekord Europy trzyma na razie Francuz, René de la Roche, poroże jego byka ważyło 18 kilogramów!), domowe muzeum pamiątek myśliwskich i wspomnienia.

NA NIEDŹWIEDZIA TRUMNĘ, NA DZIKA MARY

Tak to się niegdyś nemrodom, czyli myśliwym wybierającym się na polowanie mówiło: na niedźwiedzia idziesz — trumnę sobie szykuj, na dzika — mary, czyli nosze, bo pewnie cię poturbuje. Dzik, a zresztą żaden inny zwierz nie sprowokowany sam człowieka nie zaatakuje. Ale kiedy broni swoich młodych, albo ranny — o, to już co innego. No i przydarzyła się raz Katamayowi taka historia z rannym dzikiem:

— Krzyczałem już wtedy ratunku — opowiadał. A wszystko przez moje własne roztargnienie. Zapomniałem wtedy broń przeładować, miałem tylko śrut. Mój pies ruszył rannego dzika, dzik za nim, pies prosto na mnie... Nawet wycofać się nie mogłem, taki gąszcz wokół, cofałem się tyłem. Myślałem, że już po mnie. Nagle wpadłem do jakiegoś wykrotu. Dzik rzucał się nade mną, ale nie mógł mi nic zrobić. Zacząłem wzywać pomocy, koledzy na szczęście mnie usłyszeli...

Nie wiem, czy wszyscy myśliwi są przesądni, ale pan Katamay jest. Wierzy i w czarnego kota, i w kominiarza, który drogę przejdzie, ale najbardziej w to, że kiedy idzie na polowanie z zamiarem ubicia zwierzyny, to z pewnością nawet ogona w lesie nie zobaczy, choćby cały dzień chodził. Skąd ta pewność? Ano, przydarzyła się raz Katamayowi taka historia z wilkami:

— Chciałem zabić dwa wilki, nie zabiłem ani jednego. Także przez durny swój rozum. Była czwarta po południu, śnieg i wiatr, iść mi się nie chciało, bo nie wierzyłem, że polowanie się uda. W końcu poszedłem, o wpół do ósmej byłem już na miejscu. Usadowiłem się w ziemiance, przed nią leżała już padlina — przynęta na wilki. Otworzyłem okno, zapaliłem papierosa. Nie spodziewałem się wilków przed jedenastą. Przypadkiem spojrzałem w okno. Patrzę, a one już tam są, i to cztery. Szczęście, myślę sobie. Będę miał dwa. Złożyłem się do strzału, ale nie pomyślałem o tym, że wilk ma świetny wzrok i równie dobry węch. Ruszyłem parę razy głową, a noszę przecież okulary — wilki spostrzegły odblask, musiały też widocznie poczuć zapach dymu i uciekły.

Łowieckim, nie dostanie też pozwolenia na broń.

Kto dba, ten ma — obowiązkiem kół łowieckich jest też dokarmianie zwierzyny, dbanie o to, żeby jeden gatunek zwierząt nie rozmnożył się bardziej na danym terenie od innych i przez to zagrażał innym gatunkom, no i walka z kłusownikami.

— Przed każdym polowaniem — wspomina pan Katamay — najpierw kniei się kłaniam. We wrześniu, kiedy jest rykowisko to nie ma dla mnie piękniejszej rzeczy na świecie. Z daleka już słyszę, że tam chłystek, albo kibic chodzi. Do takiego strzelał przecież nie będę. Ale głuche, chrapliwe postękiwanie — o, to już może być byk łowny. Znam las i wiem, że on tam gdzieś za potokiem, za jarem chodzi. Jak go podejść? Nieraz długo przyjdzie się naczekać aż taki byk wyjdzie na strzał. Broń szykuję, odbezpieczoną na pniu jakimś albo gałęzi kładę i czekam. Przychodzi wreszcie ten najbardziej emocjonujący moment — strzał. Podchodzę do byka, on taki piękny leży na ziemi, człowiekowi żal się wtedy robi tego życia, nieraz serce się ściska, ale taka to już jest chciwość ludzka. Jej już chyba nic nie wyleczy. Na raka prędzej ludzie znajdą lekarstwo — na chciwość i głupotę ludzką — nigdy.

Od dwudziestu lat pracuje pan Katamay w Biurze Projektów Syntezy Chemicznej w Gliwicach. Założył tam swego czasu Koło Ligi Ochrony Przyrody. Chodził, rozmawiał niemal ze wszystkimi pracownikami. Na 1200 tylko 40 wyraziło chęć pracy w LOP. Czyżby tych 10 złotych rocznej składki żal było?

Rozesłał też Katamay list do 200 gliwickich przedsiębiorstw z propozycją założenia kół LOP. Odpowiedziały tylko dwa.

Za rok Bogdan Katamay odchodzi na emeryturę. I znów przyjdzie kolejny wrzesień, kolejne rykowisko. Bogdan Katamay znowu się kniei pokłoni.

EWA PLUTA

Zdjęcie: **M. Żbikowski**

O człowieku, który kniei się kłaniał

U Bogdana Katamaya w domu, w jednym niewielkim pokoju mieści się oryginalne muzeum. Czego tam nie ma! Na ścianach własne trofea myśliwskie, obrazy o tematyce łowieckiej, broń, kolekcja przyborów do robienia naboi — nie sposób wszystkiego wymienić, tu nawet lampa i klamka u drzwi zrobione są z rogów. Bogdan Katamay chlubi się również piątą co do wielkości w Polsce biblioteką tematyczną. Zawiera ona 570 wolumenów o łowiectwie, ornitologii, kynologii, broni oraz przyrodzie.

W natarciu aktualni mistrzowie świata. Czy sięgną po złoty medal na igrzyskach w Montrealu?

Zdjęcie: M. Sokołowska „Sportowiec"

Trener Hubert Wagner z zeszytem, w którym zapisuje uwagi o grze własnego i przeciwnego zespołu.

Zdjęcie: CAF

Ile warte jest ryzyko?

POKONYWANIE KOMPLEKSÓW

Zaledwie sześćdziesiąt cztery metry kwadratowe boiska. Sześciu zawodników. Ułamki sekund trwa każda zagrywka. Złe odbitej piłki, w przeciwieństwie do innych gier, nie naprawi tu żaden partner. Ciągły ruch, błyskawiczne zmiany pozycji. I sytuacji. Na tych paru metrach parkietu jeden człowiek wyczuwa oddech drugiego. Ba, musi przewidzieć i znać dokładnie każdy jego następny krok. Gra ludzi-automatów? Nie ma błędniejszego rozumowania, chociaż w siatkówce obowiązuje niemal komputerowa dokładność. Ale nie tylko ona...

MOMENT ZASKOCZENIA

Jeszcze do niedawna mistrzami w tej dyscyplinie sportu byli Japończycy. Ich błyskotliwe, atomowe wprost ścięcia i doskonała zasłona przed atakami stanowiły wzór dla europejskich drużyn. Kompleksu zawodników „Kraju Wschodzącego Słońca" przez długie lata nie mogła się pozbyć żadna drużyna. Jednak na ubiegłorocznych mistrzostwach świata w Meksyku siatkarski tajfun Japonii został zatrzymany. Właśnie przez Polaków. Nie wystarczyła już precyzja „azjatyckiego młyna", nie pomogła kocia zręczność poszczególnych członków drużyny. Z Auditorio Nationale, reprezentacyjnej hali stolicy państwa Azteków, biało-czerwoni wywieźli „złoto". W finałowym pojedynku z Japończykami Polacy zaskoczyli ich nieustającą zmianą taktyki, pomysłowością ofensywnych i obronnych akcji. To był główny moment zaskoczenia nie tylko dla niedawnych mistrzów. Świat zrozumiał wreszcie, że siatkówka staje się grą kombinacyjną, polegającą na wyszukiwaniu coraz to nowych sposobów skutecznego ataku i defensywy.

KONSEKWENCJA TRENERA WAGNERA

Ma zaledwie 34 lata. Jest bodajże najmłodszym trenerem w gronie opiekunów naszych narodowych drużyn wszystkich dyscyplin. Sam przez wiele sezonów grał w kadrze. Nie jest wysokiego wzrostu, ale naturalne braki nadrabiał ruchliwością godną maniaka. A kiedy powierzono mu reprezentację, wymagał tej ruchliwości od każdego z podopiecznych. Wymagał też doskonałości gry na każdej pozycji. Na własnej skórze przekonał się, że siatkówka jest grą błędów. Kto je potrafi znaleźć – zwycięża. Błędem wspomnianych już Japończyków było powtarzanie tych samych lub podobnych akcji.

Miał Hubert Wagner w swoim zespole wybitne indywidualności. Ale tylko na jednej pozycji. Aby nie dopuścić do schematyczności w grze, trener wymagał uniwersalności i pod siatką, i w drugiej linii. Był konsekwentny w myśl zasady: **nie jest ważne, co potrafisz dziś, ważniejsze są jutrzejsze umiejętności.**

Prawie na każdych mistrzostwach plasowaliśmy się w pierwszej szóstce świata. Bywało i tak, że ocieraliśmy się o medalowe lokaty. Zawsze jednak przegrywaliśmy w decydujących momentach – w piątym secie, przy stanie 2:2. Mówiło się, że Polacy nie potrafią dotrwać do końca. Obecnie utarła się opinia, iż przeciw biało-czerwonym w piątym secie nie warto wychodzić na parkiet. Ośmieszą każdego. Coś chyba jest w tym prawdziwego, skoro finałową rundę kończą oni zwycięstwem najczęściej 15:1 albo 15:2. A dzieje się to dlatego, że nauczyli się wykrywać błędy rywali. I wykorzystują je bezlitośnie. Specjaliści twierdzą nawet, że nasz zespół przegrywa niektóre sety po to tylko, aby w ostatnim urządzić sobie... siatkarski festiwal.

AZYMUT: MONTREAL

Na niedawnych mistrzostwach Europy w Belgradzie wywalczyli „tylko" medal srebrny. Wyprzedzili ich siatkarze Związku Radzieckiego. Ale Hubert Wagner nie planował nawet tej lokaty. Rok 1975 miał być dla niego wyłącznie sezonem dalszych eksperymentów, poszukiwań, które mają poprowadzić jego zespół po olimpijskie „złoto". Radykalnym zmianom uległ skład drużyny aktualnych mistrzów świata. W Belgradzie nie wystąpił **Stanisław Gościniak**, najlepszy na obu półkulach wystawiający. **Marek Karbarz** otrzymał roczny urlop, aby z nawiązką odrobić studenckie zaległości. **Edward Skorek, Zbigniew Zarzycki** i **Aleksander Skiba** już od dawna regenerują siły przed olimpijską batalią. A więc w Belgradzie nie uczestniczyło aż pięciu najbardziej doświadczonych siatkarzy. Pięciu z dwunastu! Na ich miejsca trener powołał niedawnych juniorów. Wskażcie dowolny zespół, który sięgnąłby po wicemistrzostwo Europy w tak odmłodzonym składzie! Hubert Wagner jest jednak konsekwentny i w tych poczynaniach. Wie, że jego złoci medaliści z Meksyku za dwa, trzy lata będą musieli opuścić reprezentację. Ale oni mają już godnych siebie następców.

Aktualnie celem Wagnera jest zdobycie tytułu mistrza olimpijskiego igrzysk Montreal-76. Czy mu się to uda? – Należy przypuszczać, że tak. Rywale mają już kompleks biało-czerwonych. Trzeba przyznać – uzasadniony.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Śladami OPTY

PRZYSZŁOŚĆ WYSPY NGAU

STERNIK siedział „po turecku" na wysokim stołku, co mnie wydało się strasznie niewygodne i trochę śmieszne. Statek jednak trzymał kurs dokładnie, kilwater – smuga za rufą – pozostawał prosty i układał się na niebieskości morza z prędkością nie większą od dobrego jachtu – 5 do 7 węzłów. Byłem z tego bardzo rad. Morze Koro jest piękne, zamknięte wśród wysp, które otaczają koralowe rafy.

Przesuwamy się powoli między rafą, huczącą przybojem a urwistym brzegiem wyspy Ngau. Pod urwiskiem wąski pas plaży, nad nim pochylone palmy kokosowe. Za cyplem zatoka. W górze kłębią się chmury. To wilgotny pasat układa ich wieniec, zdobiony od czasu do czasu smugami deszczu i strzępami tęczy.

Kiedy rzucono kotwicę, było około godziny szesnastej. Łapię aparaty i natychmiast po opuszczeniu pomostu schodzę do wody. Sięga mi ona wysoko nad kolana. Plaża jest wyjątkowo ciemna i błotnista. Wychodzę na twarde koralowe obrzeże, przezornie zabranym ręcznikiem wycieram się w asyście milczącej, lecz uśmiechniętej dziatwy. Przez tłum maluchów przesuwa się starszy chłopak i zaczepia poprawną angielszczyzną:

– Do you like springs?

W pierwszej chwili nie wiem, o co mu chodzi. Rozumiem niby każde słowo, ale słowa nie kojarzą się w żadną logiczną całość.

„Czy lubisz gorące źródła?"

Na wszelki wypadek odpowiadam, że chciałbym, jeśli można, zrobić kilka zdjęć i zobaczyć szkołę, porozmawiać z nauczycielem. Idziemy. Wieś położona jest na zielonym błotku. Wszystko nasiąknięte jest tu wodą. Między chatami z trawy sterczą przewody wodociągu, starsza siwa kobieta nabiera wodę do wiadra. Celuję w nią obiektywem. Prędko zakręca kran, uśmiecha się do mnie. Mówię: „Bulla, bulla vinaka. – Witam, witam bardzo". Odpowiada i coś woła, kierując się do chaty, z której wysypuje się kilka kobiet i dzieci. Ustawiają się do rodzinnej fotografii. Nie o to mi chodziło, ale staram się jak mogę, żeby zdjęcie wyszło dobrze. Tak gorliwie pozują, tyle w tym ustawianiu uprzejmości dla gościa, który wyszedł z morza. Mój przewodnik prowadzi mnie i przyspiesza kroku. Mówi: „Nazywam się Vanisea". Odpowiadam: „Na wyspie Kandavu jest wieś o tej nazwie". „Właśnie z niej pochodzę, tutaj jestem u rodziny, która przyjęła mnie do wspólnoty, kiedy byłem małym dzieckiem. Czekam tu na pełnoletność, żeby się ożenić".

Brniemy dalej przez wieś. Vanisea prowadzi mnie do szkoły. Idziemy szybko w górę, drogą rozjeżdżoną buldożerami, po której kursuje ciężarówka, łazik i furgonetka, dostarczające z wybrzeża w głąb wyspy materiały i ludzi do nowo budowanej drogi. Jest to pierwsza droga przez wyspę, która ma połączyć wsie i ułatwić korzystanie ze szkoły dzieciom. Tymczasem jedyną możliwość kształcenia się daje internat.

Szkołę widzę z dachu. Długi barak w otoczeniu kilku mniejszych budynków. Dalej, już z malowanymi na biało ścianami, wylaniają się mieszkania nauczycieli i pawilony szkoły. Musimy jeszcze pokonać głęboki jar, zejść po śliskim błotku, zagłębić się w zieloną gęstwinę i przebrnąć potok, trzymając się starej i zwichrzonej stalowej liny ubezpieczającej.

To ważne urządzenie na wypadek wysokiej wody. Przechodząc, zastanawiam się, jak tu jest, kiedy woda sięga do wypłukanych ze ścian jaru korzeni? Jak oni chodzą do tej szkoły?

Mokrzy i spoceni, pniemy się po czarnej mazi.

Najpierw oglądam internat

Około 40 łóżek pod ścianami, nad każdym, przy krokwiach dachu, uwiązany jest zwój gazy, który dzieci rozpinają na noc nad sobą jak namiot – to moskitiery. W oknach firanki, szyby, ochrona przed ukośnie padającym deszczem i palącym słońcem. W tej przedwieczornej godzinie na sali jest pusto. Widzę tylko dyżurnych, przygotowujących naftowe lampy. Przed barakiem tłum chłopców i dziewcząt otacza boksujących się kolegów. Zamiast rękawic mają dookoła dłoni owinięte szmaty. Walczą z ogromną zaciętością. Ich ciemne, spocone ciała lśnią jak piękne odlewy w szlachetnym metalu. Robi mi się smutno. Ubóstwo ludzi i bogactwo natury jest może ciekawym kontrastem, ale smutnym. Biały człowiek w czasie swojego panowania zostawił tu niewiele. Biedę i zacofanie.

Dzieciaki zniknęły z nastaniem zmroku, ustał ich świergot i śmiechy. Czuję zmęczenie. Wracam do pierwszego zdania rozmowy z Vaniseą. Pytam, co miał na myśli, proponując mi gorące źródła.

– O, mamy na wyspie wspaniałe źródła! Kiedyś Anglicy chcieli tu budować wielki dom i przywozić turystów i chorych. Kopali i wiercili w ziemi. Usypali tamę i zrobili sadzawkę, w której kąpie się dziś cała wieś.

Zainteresowało mnie to. Decyduję się iść tam mimo nocy.

To była nielicha przeprawa

Całe szczęście, że właśnie był odpływ i mogliśmy obejść kawał palmowego lasu po odsłoniętych twardych rafach. Nie uniknąłem jednak zapadnięcia się w błoto i straszenia na pół zdziczałych świń, żerujących po krzakach.

Nic nie widziałem. Poczułem tylko zapach siarki i wpadłem na Vaniseę, który skoczył przed siebie i za chwilę słyszałem, jak pluska się w wodzie i narzeka, że widać otwarto tamę, bo jest płytko. Po omacku poszedłem w jego kierunku, zanurzyłem nogę i natychmiast cofnąłem. Woda była gorąca, jak w wannie. Jeszcze się wzdrygnąłem. Licho wie, jak tu jest. Pewnie brudno, może są jakieś robaki, pasożyty, ale chęć wykąpania się była większa. Zanurzałem się powoli. Woda była śliskawa, więcej niż ciepła, dno muliste. Pływać nie mogłem. Było za płytko. Mimo zapachu siarkowodoru kąpiel była wspaniała, regenerująca.

Zrobiło się jaśniej. Wieczorem bryza rozpędziła chmury i wschodził księżyc. Nad niewielkim stawem, zasilanym gorącymi źródłami, pochyliły się kokosowe palmy. Gęste krzewy wypełniały przestrzeń między pniami i pięły się na skały, przy których woda była i głębsza, i cieplejsza. Zastanawiałem się, jakie jeszcze bogactwa spoczywają w wulkanicznych głębinach? Jakie możliwości stoją przed wyspiarzami?

Gdzieś wysoko mrugała do mnie daleka gwiazda. Ciszę przerwał jednak warkot silnika samochodu, który piął się pod górę, wioząc w głąb wyspy dostarczony naszym statkiem cement i benzynę. W tym ładunku była przyszłość wyspy: sanatorium przy gorących źródłach i nowa droga do szkoły.

STANISŁAW TELIGA

Zdjęcie **autora**

NAPAD NA BANK POMYSŁÓW

POCZĄTEK NAPADU NA STR. 1

1 Halas wywolal elektryczny świder marki Bosch, którym przestępca posługiwal się w czasie przebijania fundamentów Banku Pomysłów. Niejeden przechodzień zatrzymywal się przy drążącym podkop włamywaczu, ale przeczytawszy ustawiony przez niego na wykopie napis: „Nie gap się — też pracuj!", odchodzil zawstydzony i włamywacz spokojnie prul dalej.

2 „Czarny charakter" dostal się do wnętrza budynku podziemnym korytarzem. I tu zastąpila mu niespodziewanie drogę sprzątaczka, pani Zofia (imię zmienione), która korzystając z przerwy obiadowej, chciala przetrzeć dyrektorowi klamki do glansu. Przestępca sterroryzował sprzątaczkę wiadomością o okazyjnej wyprzedaży mioteł w Centralnym Domu Towarowym i nie zatrzymany przez nikogo, spokojnie rozprul sejf, a napełniwszy pomysłami torbę, oddalil się spokojnie z miejsca przestępstwa.

3 Nie mial jednak szczęścia nasz przestępca. Kiedy przechodzil przez ulicę Pulawską, właśnie wychodzil z apteki (nr znany Agencji) będący „na chorobie" slynny inspektor H. „Ciemny typ" wydal się inspektorowi mocno podejrzany. — Stój! — krzyknął zachrypniętym głosem inspektor, mimo że miał zwolnienie lekarskie z pracy. Zaskoczony przestępca wyciągnął pistolet i rzucil się do ucieczki.

4 Tatata! — wygarnął cały magazynek przestępca. Inspektor popędzil za nim, mimo że w tym czasie powinien połknąć pigułkę, a nie kulkę. Przestępca klucząc i „wytrychując" wpadł do bramy i klatką schodową wydostał się na dach. Inspektor cały czas deptal mu po piętach (co jest zgodne z międzynarodowym prawem ścigania).

5 Niestety, przestępca popelnil błąd. Dom był wolno stojący i dach prowadzil donikąd. Kucnął i ostrzeliwal się zza komina. Kule gwizdały gangsterskie melodie. Rykoszety bębniły po kominach jak groch. Wkrótce przestępcy zabraklo amunicji i zamierzal się poddać. Ale inspektor podrzucil mu garść naboi, albowiem uważał, że strzelanina była zbyt krótka. Nie zdążyła jeszcze przybyć telewizja i fotoreporterzy.

6 Ostatecznie „Czarny typ" został ujęty żywcem na oczach całej „Eurowizji". Oto efektowne zdjęcia końcowe. Przestępca poddaje się, a inspektor mimo zapalenia migdałków uśmiecha się do kamer telewizyjnych całego świata, rewidując przestępcę. Niestety „Czarny typ", nim się poddał, zdążył wyrzucić wszystkie zrabowane pomysły do komina.

Dlatego to, drogi Czytelniku, przez pewien czas otrzymywałeś numery „Świata Młodych" bez pomysłów. Ale wkrótce nastąpi poprawa, albowiem już pracuje nad ich odzyskaniem specjalna ekipa kominiarzy.

Zdjęcia: M. SZYMAŃSKI
Przestępca: mgr MARIUSZ KŁOBUKOWSKI
Inspektor: PAPCIO CHMIEL

REDAKCYJNA POCZTA

Alty, basy i tenory

Jesteśmy uczniami szkoły podstawowej w województwie legnickim. Należymy do harcerstwa i wielu kółek zainteresowań. Ostatnio nauczyciel od wychowania muzycznego każe nam obowiązkowo należeć do chóru. Dyrektor szkoły o tym wie i zgadza się na to. Pozostało nam jedynie podporządkować się tym decyzjom. A ponieważ na wszystko nie starcza czasu, musimy więc zrezygnować z należenia do kółek zainteresowań. Będziemy śpiewać, choć większość z nas nie ma na to ochoty! Czy chór jest obowiązkowy?

Czytelnicy z P.

Od redakcji: W Kodeksie Ucznia, w części poświęconej prawom, jest punkt 8, który brzmi: „Uczeń ma prawo dokonywać wyboru zajęć fakultatywnych, kół zainteresowań i innych form zajęć pozalekcyjnych..." Jeśli chór odbywa się po lekcjach, to ten punkt kodeksu odpowiada na Wasze pytanie.

A może naprawdę się uczy?

Mam chłopca, który bardzo mi się podoba i z którym często się spotykam. Tak — „spotykam", bo ostatnio coś się między nami popsuło. Nie mam w domu telefonu i jestem zmuszona ciągle dzwonić do niego. Trochę to mnie krępuje, bo wyznaję zasadę, że to chłopiec powinien nawiązywać kontakt z dziewczyną. Ostatecznie mogłabym jednak się z tym pogodzić, ale zauważyłam, że ciągle muszę podtrzymywać te rozmowy i proponować spotkania. Co gorsze, on na te spotkania nie przychodzi. Trudno uwierzyć w tłumaczenie, że czytał w tym czasie lekturę. Zastanawiam się, czy nie powinnam zerwać z nim jeśli on jest taki, to niech ma!

Dorris

Zbigniew Myszak (lat 13), Trzebcz Król, 86-234 Trzebczyk interesuje się astronomią. Zbiera znaczki, etykiety od czekolad i stare pieniądze.

Nie mogę tego znieść!

Nie jestem ładna ani atrakcyjna i nigdy nie miałam swojego chłopaka. Wciąż marzyłam o wielkiej miłości, aż wreszcie poznałam chłopca, który zdawał się być tym, na którego czekałam. Był szalenie przystojny i inteligentny. Od razu się w nim zakochałam, a z jego zachowania można było wywnioskować, że także i on coś do mnie czuje. Pewnego dnia zobaczyłam go jak szedł pod rękę z moją serdeczną przyjaciółką. Nie zauważyli mnie. Potem spotykali się coraz częściej. Postawiłam więc warunek: „albo ona — albo ja", lecz on wyśmiał mnie i powiedział, że „ślubu nie braliśmy". Od tego czasu zerwałam z nim kontakt, jednak dwa razy w tygodniu spotykamy się na angielskim. Ciągle widzę jego ironiczny uśmiech. Opowiada też kolegom, że poderwał mnie dla żartu i cała klasa wraz z moją serdeczną przyjaciółką śmieje się ze mnie. Nie mogą tego znieść!

„Sandra" z Kalisza

Podlizuch?

Chodzę do szóstej klasy. Bardzo lubię rozmawiać z wychowawczynią i nauczycielkami. Moi koledzy i koleżanki z klasy mają mi to za złe i przezywają mnie „podlizuch". Co mam zrobić, żeby mnie nie przezywali?

Janina

Od redakcji: Chyba zaszło tu jakieś pomieszanie pojęć. Dlaczego rozmowa z nauczycielami to podlizywanie się? Czyżby nauczyciel był kimś, do kogo nie można podejść, porozmawiać, pośmiać się razem? Przecież zupełnie inaczej, swobodniej, można rozwiązać wiele spraw wtedy, gdy nauczyciel i uczniowie są swobodni, nawzajem sobie życzliwi. A podlizywanie się to chyba zupełnie coś innego! Czy Janka rzeczywiście zasłużyła na ten epitet? Nam się wydaje, że nie. A co o tym sądzą Czytelnicy?

Dziś rozmawiamy z OLGIERDEM ŁUKASZEWICZEM

– Większość Pana bohaterów to ludzie wrażliwi, delikatni, nerwowi, często prawie neurastenicy. Przypomnijmy „Brzezinę", „Dzieje grzechu", „Znikąd donikąd", „Romantycznych". Czy to w jakiś sposób pokrywa się z tym, jaki Pan jest naprawdę?

– Nie mam tego w programie, żeby grać samego siebie. Jest to jednak nie do uniknięcia i myślę, że to właśnie dobrze. Bo przecież na tym chyba polega wybór tego a nie innego aktora do konkretnej roli. Dlatego też świadomie wybieram role, które mi odpowiadają, które czuję. Co nie oznacza wcale, że nie zagram kogoś całkiem różnego ode mnie.

– Zawód aktora dla wielu młodych ludzi stanowi szczyt marzeń. Jak doszło do tego, że Pan właśnie go wybrał? Czy może tradycje rodzinne, atmosfera domu wpłynęła na pański wybór?

– Nikt w mojej rodzinie nie był aktorem, ojciec, znany lekarz w Katowicach, pracował naukowo, mama nie pracowała. O zawodzie pomyślałem dopiero w końcu dziesiątej klasy, a właściwie w jedenastej. (Już wcześniej recytowałem wiersze na szkolnych akademiach). Kiedy moje poczynania recytatorskie znalazły uznanie na centralnych eliminacjach, wziąłem udział w turnieju poezji we Wrocławiu. Jednym z jurorów był Julian Przyboś. Parę miesięcy przedtem odwiedził moją szkołę, recytowałem wtedy jeden z wierszy tego poety. Wysłuchał go z zainteresowaniem, potem pytał mnie o analizę tego wiersza; podobała mu się moja interpretacja. Właśnie on utwierdził mnie w przekonaniu, że mogę zdawać do szkoły aktorskiej.

– Zdawał Pan do PWST w Krakowie. Jak to się odbyło, czy egzamin przebiegał gładko?

– Początkowo bardzo słabo, potem dowiedziałem się, że właściwie tylko moje zewnętrzne predyspozycje spowodowały, że zgodzono się mnie przesunąć do egzaminu konkursowego. Prawie zapomniałem wszystkich tekstów, ale kiedy wypiłem butelkę passispazminy, uspokoiłem się zupełnie, wyrecytowałem tekst i ku mojemu zdziwieniu dostałem dość wysoką lokatę.

– Dostał się więc Pan do szkoły aktorskiej; co jej Pan szczególnie zawdzięcza?

– Pewną artystyczną atmosferę autentycznej pracy, pracowaliśmy naprawdę dużo po nocach i nad scenami w teatrze studenckim „Stu". Byłem razem z Wojtkiem Pszoniakiem w grupie założycieli tego teatru. Natomiast rzeczywiście za mało było w szkole ćwiczeń ruchowych, gimnastycznych, tanecznych, ale szkoła krakowska nie dysponowała po prostu własną salą gimnastyczną.

– A czy nie myśli Pan, że jest to sprawa przestarzałego systemu nauczania, przestarzałych wyobrażeń o tym zawodzie? Może szkoła była po prostu zbyt konserwatywna?

– Nie. Sądzę, że szkoła wiele naprawdę uczyła. Stawiała na kształtowanie osobowości aktora i to było cenne.

GWIAZDOZBIÓR

– Pana pierwsze zetknięcie z filmem miało miejsce jeszcze w czasie studiów...

– Tak, to prawda. Zagrałem w „Jowicie" drobną rólkę nazwaną „całujący chłopak", scenę kręconą na krakowskich plantach, potem na trzecim i czwartym roku grałem w „Dancingu w kwaterze Hitlera", następnie w „Soli ziemi czarnej", w „Romantycznych" i w „Brzezinie" Wajdy.

– Znany jest Pan głównie jako aktor filmowy. Pracował Pan jednak również w teatrze i to nawet w kilku, począwszy od krakowskiego Teatru Rozmaitości poprzez Dramatyczny, Współczesny, Ateneum i wreszcie Powszechny w Warszawie. Jaka była Pana pierwsza rola teatralna?

– Zagrałem Wacława w „Zemście" Fredry w Teatrze Dramatycznym; rolę tę uważam za nieudaną, byłem z niej bardzo niezadowolony. Grałem też w „Ameryce" według Kawki w Ateneum, w „Sprawie Dantona" i w „Ptakach" w Teatrze Powszechnym.

– Czy ma Pan jakieś wymarzone role, które chciałby Pan zagrać?

– Wolę nie dopasowywać się do konkretnych ról, bo często można się w ten sposób niepotrzebnie ośmieszyć. Nie zawsze bowiem chęć zagrania konkretnej roli odczytywana jest z tym, co by się chciało przez tę rolę powiedzieć, a raczej z ambicją na miarę tej roli. Kiedyś zapytano mnie, czy zechciałbym zagrać Hamleta. Nie – odpowiedziałem. – Jak to, nie chce pan zagrać Hamleta?! – Choć oczywiście chciałbym zagrać Hamleta.

– Jakie są najbliższe Pana plany?

– Prawdopodobnie zagram w „Burzy" Szekspira, ale to dopiero w marcu przyszłego roku. Obecnie biorę udział w filmie „Zaklęty dwór" według znanej powieści dla młodzieży Walerego Łozińskiego. Gram tam rolę młodego dziedzica, nagłego spadkobiercy olbrzymiej fortuny. Czekam z niecierpliwością na ukazanie się na ekranach telewizyjnych „Nocy i dni", gdzie występuję w roli Janusza Ostrzeńskiego. Dla telewizji również kończę zdjęcia do „Fausta" Goethego w reżyserii A. Królikiewicza i „Kapelusza pełnego deszczu", sztuki z lat pięćdziesiątych.

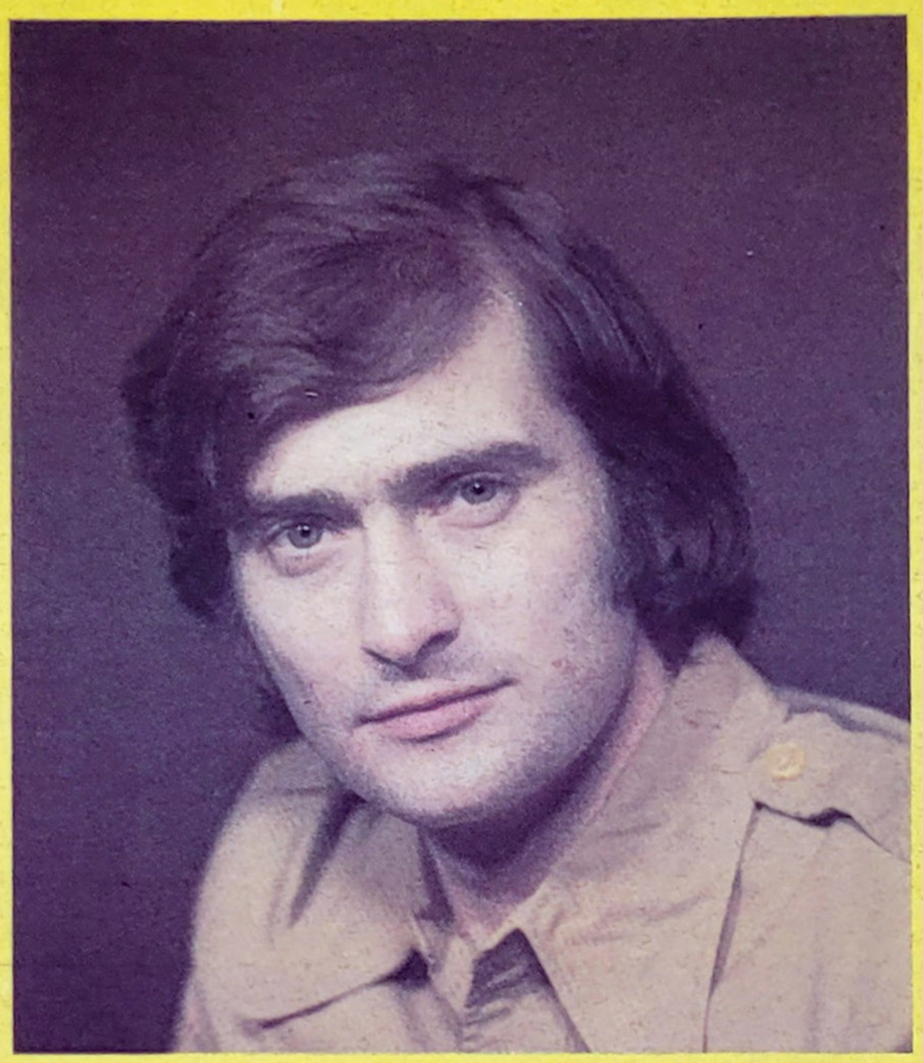

Rozmawiała:
MARIA OTREMBSKA-DEJA
Zdjęcie: **Romuald Pieńkowski**

Jest u nas w klasie dziewczyna, co tak jakoś rusza się i uczy na bardzo zwolnionych obrotach. Zdążyła zarobić już multum dwój. Niefajnie. Żal nam jej – będzie się przecież musiała, jak tak dalej pójdzie, z naszą budą pożegnać. A skądinąd bardzo sympatyczna dziewczyna. I miła. Tylko przygaszona jakaś taka. Rozmawialiśmy na jej temat w samorządzie, gadałyśmy o niej z Hanką. Wczoraj spotkałam się z Tadeuszem, ponieważ o stopniach nawijaliśmy i o nauce, to mi się ta Basia też wtedy przypomniała.

Opowiedziałam Tadeuszowi, że coś z nią jest chyba nie tak i że ktoś by się tą sprawą musiał zająć. Bo ja wiem, pogadać z nią by trzeba, dowiedzieć się, co jej jest, pomóc. W dobrej wierze mu o tym opowiadałam – że kłopot jest taki, a Tadeusz jak na mnie nie ryknie. Że kto ma to zrobić i że co ja sobie wyobrażam?!

Aż się skuliłam w sobie. A on nic na to nie zważał tylko mi dogryzał, jaka to ja jestem dobra, że o tej Basi myślę. W końcu to się nawet na niego obraziłam, bo niby dlaczego na mnie ryczy?!

A potem, jak już wróciłam do domu – zła byłam cały czas na niego jak piorun – to tak sobie pomyślałam, że... mimo wszystko ma Tadeusz trochę racji. Właściwie – ale do tego, to po dłuższym myśleniu doszłam – ma tej racji zupełnie sporo. No bo niby faktycznie – jesteśmy tacy dobrzy, myślimy, że dziewczynie trzeba pomóc, że koniecznie trzeba jej pomóc, że ktoś powinien jej pomóc. Ale konkretnie – co za ktoś? Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej?!

Bo tak naprawdę, to nie pierwszy raz wychodzi takie... głupstwo. Często się przecież mówi o czymś, że jest nie tak, i że trzeba to zmienić. Ale dosłownie, że: „ktoś powinien się tym zająć". I już gra – jesteśmy zadowoleni, żeśmy tacy mądrzy, spostrzegawczy, konstruktywni... A przecież to nieprawda! Bo np. jeśli dochodzę do wniosku, że przydałby się generalny porządeczek w moim biurku, to już w momencie formułowania tej myśli wiem, że to ja sama to zrobię i do głowy mi nie przychodzi żaden „ktoś". Ale jeśli chodzi o jakąś sprawę ogólniejszą, to... ograniczam się do zauważenia problemu. I do zwalenia go na tego legendarnego „ktosia". A to przecież niczego nie załatwia!

Hm, chyba powinnam Tadeusza przeprosić. I z Basią pogadać też...

MAGDA

ZADANIE, KTÓRE PRZYNOSI KONKRETNĄ POMOC

VII Turniej Wiedzy Obywatelskiej

W Szkole Podstawowej Nr 3 w Siedlcach uczy się prawie okrągły tysiąc uczniów. Są aż cztery ósme klasy. Nic więc dziwnego, że zespół turniejowy zastępu „Łyżwiarek" wybrał sobie zadanie „Kim być?". I że bardzo się stara, aby wypadło im ono jak najlepiej. Nie tylko ze względu na punkty, które mogą zdobyć – pomoże ono przede wszystkim wielu uczniom znaleźć odpowiedź na pytanie zawarte w tytule.

W błyskawicznym tempie powstał więc w szkole punkt informacyjny o możliwościach dalszego kształcenia się na terenie samych Siedlec i całego województwa. Zespół „Łyżwiarek" dwa razy w tygodniu na dużej przerwie i zaraz po lekcjach pełni w nim dyżury. Każdy zainteresowany może się wtedy dowiedzieć wszystkiego o tej szkole ponadpodstawowej, w której chciałby się dalej uczyć. Jeśli się natomiast zdarzy, że dyżurny informator na zadane pytanie nie potrafi udzielić natychmiastowej odpowiedzi, to zdobędzie ją na pewno na następny dyżur. Punkt informacyjny w „trójce" jest więc zawsze oblężony!

Małgorzata Dobrzyńska, zastępowa, i jej zespół zbierają nie tylko informacje o szkołach, ale o zapotrzebowaniu regionu siedleckiego na określonych fachowców. Danka Karpiniak i Jacek Rubaj przygotowują np. w szkole cały cykl spotkań z przedstawicielami różnych zawodów, z uczniami szkół średnich.

Uczniowie z siedleckiej „trójki" dzięki tegorocznemu TWO będą mieli o wiele mniejsze kłopoty z wyborem odpowiedniej szkoły. **(ej)**

Zdjęcie: **K. Adamowski**

Punkt informacyjny w „trójce" jest zawsze oblężony.

Jesteśmy ciekawi co w tym numerze uważasz za: DOBRE, LEPSZE, NAJLEPSZE. Wpisz tytuły artykułów lub ilustracji do kuponu, naklej na kartkę pocztową, wyślij pod adresem redakcji – Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

OCENA	TYTUŁ
dobry	. . . . .
lepszy	. . . . .
najlepszy	. . . . .

ŚWIAT MŁODYCH Ogólnopolska Gazeta Nastolatków

nr 138

BAŚNIOWE CHATKI

POZNAŃ (HSI). W wielu krajach istnieją miejsca, w których dzieci czują się jak w świecie bajek. Harcerze z Hufca im. J. Krasickiego pozazdrościli innym „baśni na jawie" i wystąpili z inicjatywą zbudowania bajkowego ogrodu. Młodzi poznaniacy wybudowali już 155 miniaturowych, drewnianych eksponatów. W międzygórskim ogrodzie stoją m. in. domki Ducha Gór, królewny Śnieżki, Baby Jagi. Większą część ogrodu przeznaczono na miasteczko indiańskie i warownię słynnego rozbójnika Rumcajsa. **(mh)**

REPORTER Świata Młodych

Na ratunek

Był letni wieczór. Siedziałem w cieniu na ławce oddalonej od parkingu zaledwie o kilka kroków. Podziwiałem właśnie piękny kabriolet, gdy uwagę moją zwróciła karetka pogotowia parkująca nie opodal. Szofer wyłączył silnik, nastawił radio. Po chwili wywiązał się między nim a lekarzem taki oto dialog:

Lekarz: — Słuchaj, Tadek, jutro możemy zrobić lewy kurs. Wiesz, mój brat się buduje i daje dwie stówy za przewiezienie mu dwóch worków cementu. A ponadto powrotnym kursem możemy wziąć od niego skrzynkę jabłek.

Szofer: — Mówisz, że dwie stówy; a co zrobimy gdy nas wywołają do wypadku?

Lekarz: — Też coś wielkiego, nowicjusz jesteś czy co?

Szofer: — No, niby nie.

Lekarz: — No więc prosta sprawa, udamy, że samochód nawalił, a licznik poprawić to drobnostka. Dwie stówy, to już jest coś, nie?

Szofer: — Pewnie. Właśnie miałem kupić żonie pończochy. No więc stoi!

Zaterkotał telefon. Odezwał się szofer. Po chwili zaczął potakiwać: — Tak, tak, już jedziemy, wylew krwi do mózgu? Oczywiście już jedziemy! — rzucił słuchawkę na widełki, po czym spokojnie zapalił papierosa. Wreszcie po kilku minutach, wyrzuciwszy niedopałek za okno, włączył silnik i odjechał. Jeszcze przez chwilę siedziałem oniemiały. A potem zerwałem się i co sił w nogach zacząłem biec, uciekać od tego strasznego miejsca, od tych strasznych ludzi, którzy walczą o nasze życie!

PIOTR GABRYEL

Przygoda z jastrzębiem

Wchodząc do domu pani Liwieckiej w Grodzisku Mazowieckim, człowiek trafia jakby do innego świata. Wszędzie widać wspaniałe okazy korzeni.

— Pewnej niedzieli — opowiada gospodyni — wybrałam się z mężem do zupełnie nieznanego mi lasu. Oczywiście nie zwracałam uwagi na grzyby, które zbierał mąż. Patrzyłam na korzenie. Jeden z nich wyrwałam i zobaczyłam coś, co przechodziło moje najśmielsze oczekiwania. Oto przede mną ukazał się piękny ptak, rozpościerający skrzydła, jakby szykował się do lotu. Nie wypuszczałam go z ręki, bojąc się, że odleci.

Opowiadając tę przygodę, pani Liwiecka patrzy ukradkiem na telewizor, który ozdabia „jastrząb" Rzeczywiście — jakby leciał.

Wychodząc z „leśnego domu", znowu ogarnia mnie skrzek silników i zgrzyt maszyn. I od razu doceniam wartość tego korzennego hobby pani Liwieckiej.

AGNIESZKA TONDERA

Za orbitą Plutona

NIEWIDZIALNE PLANETY — nowe dowody naukowe

Za orbitą Plutona krąży jeszcze jedna, a może i dwie planety — twierdzą specjaliści z leningradzkiego Instytutu Astronomii Teoretycznej Akademii Nauk ZSRR. Opierają się oni na analizie matematycznej lotu komet z dwóch tzw. rodzin, które zbliżają się ku Ziemi i już w ubiegłym wieku zostały zaobserwowane przez astronomów.

Prof. Gleb Czebotariew — dyrektor Instytutu, jeden z największych radzieckich autorytetów w dziedzinie astronomii — zakomunikował, że o istnieniu jednej z tych planet przekonał się, wykonując serię obliczeń przy pomocy komputera — ruchu komety zarejestrowanej w astronomicznych katalogach pod numerem 1862—3. Parametry jej orbity dowodzą, że na ruch komety wpływa jakaś planeta.

Według obliczeń, niewidzialna planeta ma średnicę od 8 do 12 tys. kilometrów, tj. objętością i masą równa jest w przybliżeniu Ziemi. Jej odległość od Słońca jest 54 razy większa niż Ziemi.

Uczony twierdzi, że kometa 1862—3 pojawi się w polu widzenia ziemskich obserwatorów w 1982 roku.

Jeśli obliczenia astronoma radzieckiego potwierdzą się — za siedem lat będzie można zakończyć wieloletnie spory na temat nie odkrytych jeszcze planet naszego Układu Słonecznego.

Z prac analitycznych leningradzkiego Instytutu Astronomii Teoretycznej wynika, że orbity jeszcze jednej rodziny 11 komet, które pojawiły się również w ubiegłym wieku, są dowodem istnienia nowej, bardziej odległej planety. Prawdopodobnie jest ona dwukrotnie większa od Ziemi i okrąża Słońce w odległości 100 razy większej niż nasz glob.

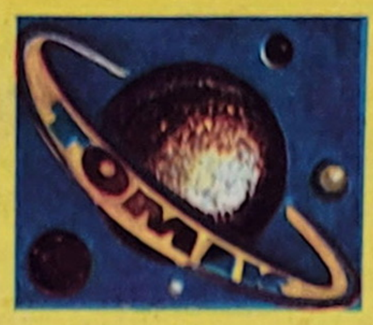

Wydawało mi się, że zdołamy zakończyć już omawianie problemów związanych z systemem słonecznym, ale życie i... Wasze korespondencje przynoszą coraz to nowe wiadomości. W kolejce na druk czekają jeszcze inne artykuły z tej serii, które warto zaprezentować na łamach TOMIKA. Tak więc temat: „Układ Słoneczny" jeszcze się nieco przedłuży.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

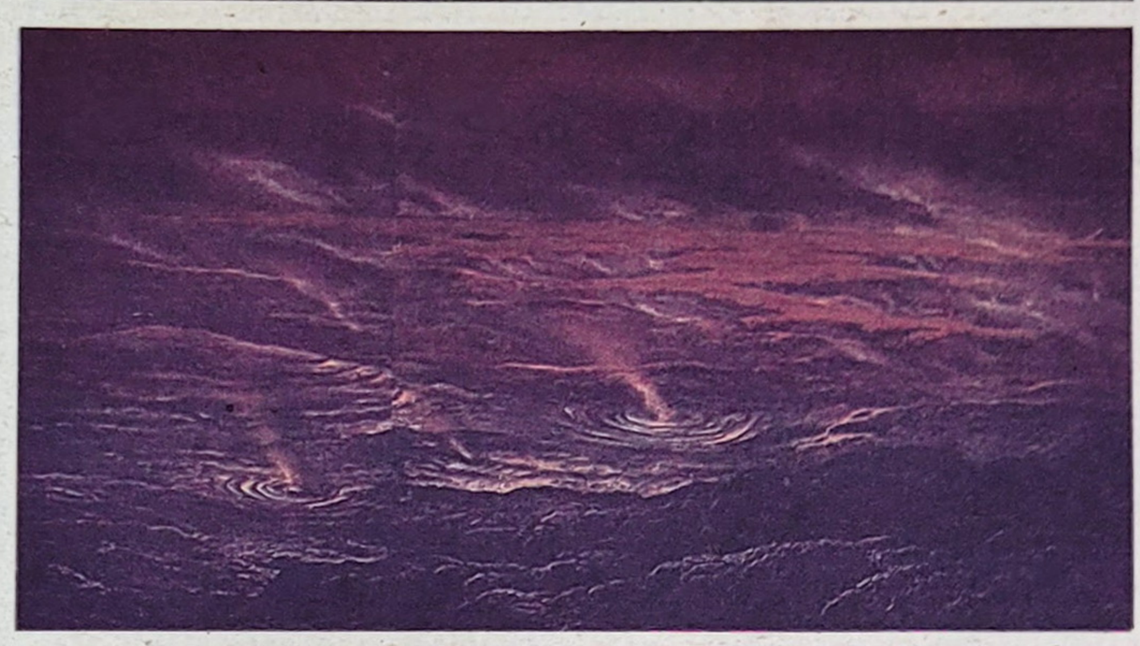

Tak wyobraża sobie artysta grafik wenusjański krajobraz. Obraz ten powstał przed lądowaniem ostatnich dwóch sond radzieckich.

Historia podboju WENUS

Ostatni eksperyment radzieckiej kosmonautyki — lądowanie kolejno 22 oraz 25 października br. automatycznych laboratoriów „Wenus-9" i „Wenus-10" — jest kontynuacją badań zapoczątkowanych w lutym 1961 roku. Wtedy to wystrzelono w ZSRR pierwszą tego typu stację — „Wenus-1". Wówczas jednak stracono z nią kontakt w momencie, gdy przelatywała w odległości 100 tys. km od powierzchni planety. W niespełna 5 lat później „Wenus-3" jako pierwszy ziemski obiekt znalazła się w atmosferze planety. Ale dopiero lądownik „Wenus-7" w grudniu 1970 r. łagodnie osiadł na powierzchni Białej Planety. Powtórzyła ten wyczyn w lipcu 1972 roku stacja „Wenus-8". Stacja oznaczona numerem 7 pracowała 23 minuty po wylądowaniu. Zostało to uznane za wielki sukces. Nic dziwnego, zbliżone do wenusjańskich warunki panują w wodzie na głębokości półtora kilometra i przy temperaturze, w której topi się cynk i ołów. Automat musi być otoczony specjalnym pancerzem. Sama osłona lądownika „Wenus-7" ważyła 100 kg. Rewelacją jest więc wiadomość o blisko godzinnej pracy lądownika „Wenus-9" i ponad godzinnej — „Wenus-10".

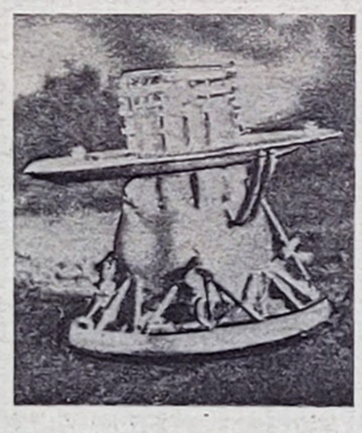

Model aparatu lądującego stacji „Wenus-9" i „10".

Warto dodać, że mimo radzieckiego „monopolu" na badanie Wenus, pewien wkład mają również amerykańskie stacje z serii „Mariner" (było ich trzy), które wykonały serię zdjęć (nie lądując) i z dużą dokładnością ustaliły masę planety.

JOWISZ wygasłym słońcem?

Ciekawą hipotezę zakładającą, że Jowisz jest drugim wygasłym słońcem, które przed miliardami lat płonęło w podwójnym systemie, wysunął ostatnio leningradzki astronom, dr E. M. Drobieszewskij, członek Akademii Nauk ZSRR. Jego hipoteza — poparta matematycznymi wyliczeniami — zakłada możliwość istnienia w początkowej fazie formowania się naszego systemu dwóch gwiazd, a nie jednej — co jest znacznie częstszym zjawiskiem w kosmosie — i stopniowego wygasania jednej z nich, którą jest właśnie Jowisz.

Ostatnie obserwacje tej planety o ogromnej masie wykazały, że wypromieniowuje ona w przestrzeń znacznie więcej ciepła niż otrzymuje go z promieni słonecznych. Wprawdzie zdaniem naukowców nie jest to koronny dowód dawnej funkcji Jowisza, istnieje mowiem możliwość zachodzenia wewnątrz planety bądź to intensywnych procesów nuklearnych, bądź też kurczenia się i przekształcania jego energii grawitacyjnej w ciepło. Niemniej — a co do tego astrofizycy są zgodni — hipotezy, że Jowisz jest stygnącym słońcem nie można wykluczyć z uwagi na jego wielką masę.

Niezwykle ciekawe wywody — przedstawione przez radzieckiego naukowca w angielskim miesięczniku naukowym „Nature" — wskazują na prawdopodobieństwo utraty przez Jowisza części masy na korzyść Słońca we wczesnym okresie formowania się naszego systemu planetarnego i powstawania m. in. na tej drodze planet. Hipoteza jest niezwykle ciekawa i pobudziła naukowców do zwrócenia większej uwagi na największą planetę naszego układu. Badanie Jowisza jako wygasłej gwiazdy przy pomocy sond kosmicznych dostarczyć może niezwykle interesujących danych o wszechświecie.

Jarosław Ciesielski
ul. Słowackiego 4/6
26-600 Radom

Tomiku!!!
Ostatnio cały świat obiegła astronomiczna sensacja:

ODKRYTO 14 KSIĘŻYC JOWISZA

Amerykański astronom, Charles Kowal, który w ubiegłym roku odkrył 13 księżyc największej planety Układu Słonecznego — Jowisza i twierdzi, iż obecnie odkrył 14 (?!) satelitę Jowisza. Księżyc ten ma zaledwie 6 km średnicy i na kliszy fotograficznej wykonanej w obserwatorium astronomicznym Mount Palomar został zarejestrowany w postaci niewielkiej plamki. Charles Kowal nie był na razie w stanie ustalić orbity tego niewielkiego satelity Jowisza.

Paweł Respondek
ul. Słowackiego 8 m. 15, 42-200 Częstochowa

Kącik korespondentów TOMIKA

Astronomią ogólną interesują się: Marek Olejnik (12 lat) — ul. 22 Stycznia 41, 29-300. Wyrzysk, Laboratorium ZOZ; **Andrzej Swodczyk** z Klubu „Merkury" — Aleja Wolności 44 m. 35, 42-200 Częstochowa;

Życiem na innych planetach: Dorota Piotrowska (14 lat) — ul. Koniewa 59/44, Kraków, os. „Widok"; **Mariola Milczarek** (15 lat) — ul. Zakątna 9/13 m. 31, 90-745 Łódź.

Astronomią i fizyką: Ewa Piasecka (16 lat) — Al. Sienkiewicza 15/1, 88-100 Inowrocław.

Książkami fantastyczno-naukowymi oraz obiektami NOL: Łukasz Staszewski (14 lat) — ul. Międzynarodowa 46/48a m. 188, 03-922 Warszawa; **Dariusz Pruszkowski** (14 lat) — ul. Kołłątaja 28a/8, 71-525 Szczecin; **Maria Paściak** (15 lat) — Laskówka, 36-242 Bachórz; **Zbigniew Burda** (15 lat) — ul. Słowackiego 8/41, 42-200 Częstochowa.

Powtórnie zasiadłam do lekcji, trzaska włącznik, słodko, dziwnie rozpoczyna się piosenka o dziewczynie, która tej nocy znowu śniła swój najcudowniejszy sen. Włączenie magnetofonu jest znakiem, że Jurek także się uczy.

Piosenka o najcudowniejszym śnie kończy się i zaczyna się metaliczne bębnienie gitar i pojękiwanie. Jurek przestawia na głośniej, bang, bang, bang, jęczą struny. Nie umiem, nie mogę się skupić przy tej muzyce. Coś podobnego grali, gdy z czerwonym makiem w palcach stałam przy pustym krześle...

— Ścisz! — wrzeszczę.

Muzyka trochę cichnie, ale nie za bardzo. Agnieszka nie jest niższa ode mnie, a wtedy przy Wieśku wydawała się zupełnie nieduża i bardzo drobna, chucherko, można powiedzieć. On jest wysoki, ten Wiesiek. Jak stał przede mną w szatni, musiałam podnieść głowę, mama twierdzi, że teraz rośniemy na schwał, witaminy, słońce, sport i tak dalej, już teraz jestem trochę wyższa niż mama... Tak, on jest wysoki, wcale nie wygląda śmiesznie z długimi włosami, niektórzy chłopcy w tych swoich lokach przypominają pana Kobuszewskiego w peruce, a on nie. Jego włosy są ciemne i lśniące...

Wyrywam kartkę z brulionu i rysuję. Wysoki, długie nogi, ciemne włosy, rower, zastanawiam się przez moment i dorysowuję dziewczynę w spódnicy typu banan i białego szpica na smyczy. Jeszcze moment namysłu i szkicuję okrągłą piaskownicę, ławkę, dwa krzaki.

Otwieram okno i ze swoją kartką wychylam się z ósmego piętra, ale nie ma nikogo przed blokiem, tylko ten biały pies kluczy po trawniku. Kartka spada wolniutko, wreszcie leży na styczniowej trawie. Robi mi się prawie wesoło.

— Głowa mi pęka od tego ryku — potępia w przedpokoju ojciec. — Jak oni mogą się uczyć w tych warunkach? I byłbym mocno zobowiązany, aby w tym domu brano pod uwagę, że wracam po siedmiu godzinach pracy i po wyczerpującej naradzie. Ja także mam prawo do odpoczynku!

Mama jak zwykle usiłuje łagodzić:

— On zaraz przyciszy. Prawda Jurku, że przyciszysz? Mnie ta muzyka nie przeszkadza, już się przyzwyczaiłam.

— A ja się nigdy nie przyzwyczaję do tego barbarzyństwa. To nawet nie powinno się nazywać muzyką. Kamieniem obrazy dla prawdziwej sztuki jest...

Znowu odsuwam zeszyt i zamyślam się. Jest jeszcze coś do wyrzucenia w ślad za rysunkiem na kartce i kiedy to wyrzucę, będę miała coś ważnego z głowy.

To jest ukryte na samym dnie teczki, porwało się już zupełnie, pobrudziło, do czerwonej bibułki przylgnęły okruszyny z drugiego śniadania. Też pomysł nosić się z takim śmieciem!

To powinno być wyrzucone przez okno. I niechby tam na dole, przed wejściem, stał chłopak z ciemnymi włosami, przy nim Milena, a przy Milenie Agnieszka. I niechby widzieli jak gniotę w kulkę to, co zostało z nieszczęsnego maku i wyrzucam.

Kulka spada dużo prędzej niż kartka, biały pies zainteresowany podbiega i wącha czerwoną bibułkę. Jest najwyraźniej rozczarowany — ani to do jedzenia ani nie pachnie innym psem, do niczego.

— Czyś ty oszalała, Madziu? Ledwo wyszłaś z kataru i wietrzy się w otwartym oknie. Chcesz mieć grypę? Każda wasza choroba to dodatkowy kłopot dla mnie. Znowu się będę musiała zwalniać z biura...

Mama stoi za moimi plecami, więc także widzi trawnik, białego psa i to, co leży na trawniku.

— Co za brak elementarnej kultury, wyrzucać papiery przez okno!

Kurczę się w sobie, mama ma świętą rację. Jest mi wstyd.

— Za parę dni twoje urodziny, Madziu. Chciałabym wiedzieć, jakie masz projekty?

Na śmierć zapomniałam o tych urodzinach. O swoich czternastych urodzinach. Dawniej cieszyłam się na nie, zapraszałam koleżanki, mama piekła takie ciastka, które się nazywają chruściki, bawiłyśmy się, tańczyłyśmy. Ale teraz... Co będzie teraz?

— Oczywiście, zaprosisz Agnieszkę — mama namyśla się i wylicza dalej: — Katarzyna, Beata, Joanna, Hanka, sześć dziewczynek licząc razem z tobą.

W nagłym olśnieniu pojmuję, że te urodziny mogą się stać okazją do odwetu na Agnieszce, Katarzynie, Beacie, Joannie i Hance.

— Mamo...

— Słucham, Madziu.

— Czy mogę...

C. d. n.

8

JONKA JONEK I KLEKS

WSPOMNIENIA Z WAKACJI

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-13-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	23-56-13

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-72, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa

Redaktor odpowiedzialny: Maria Jaworska

Opracowanie graficzne: Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna: Anna Dąbrowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 138/1523 B-38

Nr indeksu — 35039/35044

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561

POCZTOWY

MOŻE NIE, MOŻE TAK

EWA NOWACKA

— On jest dla ciebie najważniejszy — powtórzyłam twardo i z gniewem, rzęsy Agnieszki zamrugały niemym protestem, a ja ciągnęłam dalej: — Pociesz się, że on chodzi z Mileną.

Zapadła cisza.

— Skąd wiesz? — zaszeptała Agnieszka.

— Prosił mnie i ja do niej telefonowałam — dorzuciłam z triumfem. — Umówili się przy piaskownicy. — Poszperawszy w pamięci, dodałam: — Piętnaście po szóstej przy piaskownicy.

Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tego powiedzieć, że Agnieszce jest bardzo przykro i smutno, kiedy mówię o tej piaskownicy i o tej piętnaście po szóstej, ale to była w pewnym sensie także moja własna sprawa. Mnie też było przykro, że Wiesiek z Mileną umówili się na ławce przy piaskownicy, we wrześniu, piętnaście po szóstej. A w ogóle, jeżeli on jest dla Agnieszki taki ważny, opowiem jej wszystko. Wszystko! Opowiem, jak znalazł mnie w szatni i dał mi duży bibułkowy mak...

Nie opowiedziałam.

— Magda, siedzimy razem...

— Mogę poprosić panią, żeby nas rozsadziła.

Plecy Agnieszki przygarbiły się, jakoś zmalała.

— Możemy poprosić.

— I w porządku.

Odprowadziłam ją na korytarz, asystowałam milcząco przy tym, jak wkładała płaszcz.

— Agnisiu, twoja mama dzisiaj na której zmianie? — dobiegło zza kuchennych drzwi.

— Na drugiej.

— Jadłaś obiad?

— Tak. W barze mlecznym.

W ramie drzwi ukazała się moja mama.

— Ja ciebie nie puszczę na głodniaka, wykluczone. Zaraz wróci Jurek, obiad już gotowy. Agnisiu, zostaw palto. Myjcie łapy, dziewczynki, Madziu, nakrywaj do stołu!

Myślę, że na ucztach u Borgiów czułabym się lepiej i weselej niż przy tych naszych mielonych kotletach z marchewką. Najgorsze było to, że musiałam rozmawiać z Agnieszką jakby nigdy nic, o stopniach, ostatniej klasówce, koleżankach i kolegach. Mimo że się bardzo starałam i Agnieszka także się starała, zupełnie nam nie szła ta paplanina. Po kilku słowach utykałam w niezręcznym milczeniu, a to, co mówiłam, wygłaszałam ponuro i sztucznie.

— Na kartkówce Hanka podkreśliła okolicznik zamiast przydawki — stwierdziłam takim tonem, jakbym była Hamletem wysyłającym nieszczęsną Ofelię do klasztoru.

— Od kwietnia znowu mamy pływalnię — a brzmiało to tak, jakbym wieszczyła rychły koniec świata.

Mama chyba w niczym się nie połapała, ale Jurek doskonale się bawił słuchając mojej rozmowy z Agnieszką. Wiedziałam przecież dobrze, co oznacza u niego to drganie policzków.

— Madziu, nalej Agnieszce kompotu.

Nalałam po wręby, kawałek jabłka upadł na obrus. Agnieszka niepewnie obracała w palcach łyżeczkę.

— Gwarantuję honorem, że nie zatruty — odezwał się niespodziewanie Jurek. — W tym domu cyjankiem dysponujemy wyłącznie do zup.

I roześmiał się głośno.

— Co ty za głupstwa wygadujesz? — przeraziła się mama.

— W twoim wieku...

— Przepraszam.

Wreszcie zjedliśmy ten obiad. Kiedy Agnieszka już naprawdę wyszła, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi, poczułam ulgę.

— Po co ty się popisujesz takimi wątpliwymi dowcipami! — gniewała się mama na Jurka. — Mnie by nigdy coś takiego nie przeszło przez usta. W dodatku przy jedzeniu...

— Zgoda, wydziczyłem się. Przepraszam.

Ciąg dalszy na str. 7